5. NUMER MARZEC 1911. ROK III.



NA ZIEMI NASZEJ

R. MĘKICKI 1911

DODATEK LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

PIERŚCIENIE HISTORYCZNE.

(Ciąg dalszy).

Książę Józef Poniatowski.

Współczesne księciu Józefowi pokolenie, które patrzało na ostatni, chlubny okres jego życia i śmierć bohaterską, rozumiało już doskonale i odczuwało to, co obecnie tak pięknie i trafnie wyraził prof. Askenazy. *) Bo istotnie „choć poraz pierwszy otworzył oczy w Wiedniu, jako generałowicz austrjacki, a poraz ostatni zamknął je pod Lipskiem jako marszałek francuski, choć mu było przeznaczonem pierwsze i ostatnie tchnienie wydać na obczyźnie, jednak naprawdę sam uczynił się rodowitem, ukochanem dzieckiem tej naszej Warszawy, uczynił się wcieleniem najrdzenniejszych, nieśmiertelnych czynników swojej narodowości i został nie tylko jednym z najświetniejszych, lecz najbardziej swojskich, najbardziej polskich jej przedstawicieli“.

Jakiś niezmierny, rycerskiej chwały a zarazem tragedji pełen urok otoczył chwilę jego zgonu, ostatni dzień życia i ostatnie, testamentarne słowa. Tylko w czasach wielkich kataklizmów dziejowych i ludzi olbrzymów bywa, że razem ze śmiercią człowieka przewraca się nagle karta dziejowa i rozpadają państwa. Tak właśnie ostatnie tchnienie Poniatowskiego było chwilą skonu dla Księstwa warszawskiego, a równocześnie wielkiem, bohaterskiem zamknięciem rapsodu napoleońskiego w dziejach naszych.

To też laury całej epoki spadły na tę postać szlachetną i cały żal trudów, przelanej krwi i zawiedzionych nadziei. Książe Józef Poniatowski był tak doskonałym wyobrazicielem zmagań się narodowych, że epokowa jego rola z całą bezpośrednią siłą uderzyła w umysły. Czuli ją rybacy, którzy w cztery dni po zgonie, zaszłym 19. października 1813. odnalezli jego zwłoki w Elsterze i magistrat lipski, co je w sklepach swego ratusza z czcią przechowywał, oficerowie, którzy w parę godzin po wypadku zeszli się na bezradny sejmik, jak wreszcie cała Polska i jej serce Warszawa. Zwłaszcza tam wiadomość o zgonie księcia wywarła piorunujące wrażenie. „Ostatnia gwiazda Polski zgasła“ mówiono powszechnie i istotnie nie było w tych słowach wcale przesady, tak jak jej niebyło w potokach wymowy żałobnej, w wierszach nagrobnych, uroczystościach pogrzebowych przy wprowadzeniu zwłok do Warszawy 9. września 1814, wyprowadzeniu do Krakowa 19. lipca 1817 i przy składaniu ich na Wawelu 23. lipca tegoż roku.

Nimb chwały, poświęcenia, żołnierskiego honoru o najczystszej mocy i hartowności opromienił postać ks. Józefa. Dokoła jego osoby wytworzył się specjalny kult, którego głównem ogniskiem była Warszawa, a który rozbiegał się po dworkach szlacheckich całej Polski, a kwitł także we Francji, odległe echa podziwu budził w Niemczech, Włoszech, a nawet Anglii. A u nas niebyło prawie domu, gdzieby nie wisiał sztych według obrazu Martinetta, Aubrego, Bennera, Verneta, a zwłaszcza tego ostatniego, z księciem Józefem skaczącym dziarsko i pewnie do Elstery. Panny wyszywały go włóczką na krosnach, wszyscy poeci, począwszy od Niemcewicza i Brodzińskiego wypowiedzieli się w wierszach ku czci jego, Caunois uwiecznił ostatnie jego słowa na medalu, a jeszcze później, znacznie później, spiewał o nim Beranger.

Więc i na pierścionki przeszły rysy jego i imię jego i data śmierci i ostatnie słowa, a nawet szczątki szabli i podkowy jego konia. Noszono je powszechnie: oficerowie i żołnierze wojska kongresowego głównie, jako obrączki żelaznej cnoty, a później jako znak sprzysiężenia i hasło do walki. Stąd taka mnogość i różnorodność typów, tyle zachowanych egzemplarzy i fakt, że dziś jeszcze są one najbardziej znane i popu-

*) S. Askenazy: Ks. Józef Poniatowski. — Warszawa 1910 str 1.

larne z pomiędzy wszystkich pierścionków narodowych.

17. Pierścień w kształcie sygnetu, złoty, owalnej tarczy, na której kolorowa miniatura z popiersiem ks. Poniatowskiego na szkle malowana i szkłem nakryta — po bokach ornament, częściowo zatarty.

Noszony przez Józefa Borzęckiego pułkownika czwartego pułku liniowego Kr. P. Dziś własność rodziny.

18. Pierścień w kształcie sygnetu złoty, z ornamentem kwiatowym po bokach tarczy, na której kolorowa miniatura z popiersiem ks. Poniatowskiego, na kości słoniowej.

Ze zb. dra Adolfa Sternschussa we Lwowie.

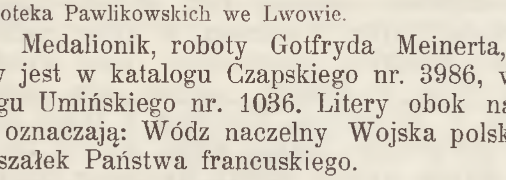
Zwyczajem praktykowanym bardzo często w epoce empirowej, rozdawał i ks. Józef Poniatowski przyjaciołom swoim, albo też w formie nagrody, pierścienie z własną podobizną. Być tedy może, że z tego źródła pochodzą pierścienie wyżej opisane.

19. Pierścień w kształcie sygnetu, złoty, gładki, z medalionikiem na tarczy, na którym popiersie ks. Józefa w prawo zwrócone. Napis otokowy: I. X. PONIATOWSKI W. N. W. P. M. P. F.

Biblioteka Pawlikowskich we Lwowie.

Medalionik, roboty Gotfryda Meinerta, opisany jest w katalogu Czapskiego nr. 3986, w katalogu Umińskiego nr. 1036. Litery obok nazwiska oznaczają: Wódz naczelny Wojska polskiego, Marszałek Państwa francuskiego.

20. Pierścień w kształcie sygnetu, żelazny, z ruchomym złotym me-



dalionikiem, na którym na stronie głównej głowa w prawo zwrócona, w otoku napis: I. X. PONIATOWSKI W. N. W. P. M. P. F. na stronie odwrotnej: STRAŻ | ZWŁOKÓW | WODZA, po obu zaś stronach tarczy: R 1814 — No...

Ze zb. p. Bolesława Demla w Warszawie.

Jak wiadomo po śmierci Poniatowskiego, wojsko polskie pod wodzą ks. Sułkowskiego ruszyło z Napoleonem, dzieląc jego losy, aż do końca kampanji i do wywiezienia cesarza na wyspę Elbę, poczem oddało się w rozkazy cara Aleksandra. Zaraz na pierwszem posłuchaniu deputacji generałów, prosił Sokolnicki o przewiezienie do Warszawy zwłok ks. Poniatowskiego. Cesarz zezwolił na to rozkazem dziennym W. ks. Konstantego z 27 maja 1814. Zabrane z Lipska przez wracające do kraju wojsko wieziono je uroczyście, pod eskortą osobnych kompanji weteranów, które się składały z samynh oficerów pod dowództwem Sokolnickiego. Kompanie te towarzyszyły zwłokom aż do Warszawy, gdzie je 9 września z wielką uroczystością złożono w podziemiach kościoła św. Krzyża. Gdy kondukt ruszał od rogatek wolskich żołnierze wprzęgli się do karawanu i ciągnęli go aż do samego kościoła. Kondukt z mowami trwał od 10 zrana do 4 popołudniu, nazajutrz zaś egzekwie od 10 do 2 godziny, „z całą wielkością i wspaniałością godną bohaterskiej śmierci, jaką miał uczcić“ Mimo całego szacunku dla weteranów, w znacznej części poranionych lub chorych, którzy ekskortowali zwłoki księcia i nosili opisany wyżej pierścień pamiątkowy, cieszyła się cała Warszawa z dowcipu jenerała Henryka Dąbrowskiego, który organizującą się armię Królestwa kongresowego podzielił na 3 części. Jedną teraźniejszą, którą przyprowadził Krasiński, drugą przyszłą, którą ma uformować Dąbrowski i trzecią przeszłą, złożoną z nieboszczyków, których Sokolnicki odprowadza na miejsce wiecznego spoczynku. Aluzja ta do Sokolnickiego jako do wodza „straży zwłoków wodza“ takie miała powodzenie, że przez pewien czas nikt Sokolnickiego, inaczej nie tytułował, jak „generałem nieboszczyków“*)

21. Pierścień w kształcie sygnetu, żelazny, wewnątrz złotą blaszką wyłożony, z tarczą na której złoty medalionik z popiersiem ks. Józefa. Na odwrotnej stronie tarczy: *Bóg mi | powierzył | sławę Polaków | Bogu ją | oddam.* |

Muzeum narodowe w Krakowie.

Medalionik identyczny z opisanymi wyżej nr. 19 i 20. Podobny pierścień z tym samym medalionikiem, obracającym się na osi, ale ze skrytką

*) J. Falkowski: Obrazy z życia kilku ostatnich pokoleń. Poznań 1887 t. V. str. 545.

wewnątrz i bez napisu na stronie odwrotnej, posiada również Muzeum narodowe w Krakowie.

22. Pierścień w kształcie sygnetu, złoty, z tarczą, na której popiersie ks. Józefa w medalionie, z napisem otokowym: *I. X. Poniatowski Wódz. Nacz. Woysk. Pol.*

Ze zb. błp. Matiasa Bersohna w Warszawie.

Sprzedany w r. 1909 na aukcji zbiorów Bersohna, nr. kat. 291. O ile medalionik identyczny jest z poprzednio opisanymi, nie wiadomo.

23. Pierścień w kształcie sygnetu, żelazny z armaturami wypukłemi, z miniaturą ks. Józefa Poniatowskiego za szkłem, na kości słoniowej, i napisem: *Żył dla Oyczyzny umarł dla sławy 19 P. 1813.*

Ze zb. błp. Matiasa Bersona w Warszawie.

Sprzedany w r. 1909 na aukcji zbiorów Bersohna, nr. kat. 293.

24. Pierścień w kształcie sygnetu, złoty, z tarczą żelazną, na której popiersie ks. Józefa w prawo zwrócone.

Muzeum narodowe w Krakowie.

25. Pierścień w kształcie sygnetu, żelazny, wyłożony wewnątrz srebrną blaszką na której ryty napis: *Pierścionek z szabli Józefa X. Poniatowskiego † 1813.* Na obwodzie złota tarcza z herbami Polski i Litwy w czerwonej i niebieskiej emalii.

Muzeum narodowe polskie w Rapperswilu.

Relikwiarny charakter powyższego pierścienia stwierdza sam napis. Czy i o ile z tej samej szabli zrobiono dalsze pierścionki, nie zdołaliśmy stwierdzić.

26. Pierścień w kształcie sygnetu, żelazny, ze złotą tarczą, wewnątrz złotą blaszką wyłożony. Napisy ryte kursywą; na tarczy: *Józef X. Poniatowski* na obwodzie zewnętrznym: *Żył ze Sławą—walczył za Oyczyznę—zginoł dla nadziei, Rce Elster* wewnątrz wreszcie na złotej blaszce: *Bóg mi Powierzył honor Polaków i Bogu Samemu go oddam.*



Ze zbiorów p. Bolesława Wysloucha we Lwowie.

Podobny z tarczą herbową zamiast napisu posiada Muzeum Lubomirskich we Lwowie. Czapski w katalogu monet i medali nr. 3986 opisuje ten sam pierścień z pewną odmianą w napisach i z medalionikiem, (jak nr. 19.) na tarczy.

Jest to największy i najokazalszy ze znanych nam pierścieni, co do których nieprzerwana tradycja twierdzi, jakoby zrobione były z podków konia, z którym książę Józef skoczył do Elstery. Tradycja, zresztą bardzo prawdopodobna wobec niesłychanego wrażenia, jakie śmierć wodza na najbliższem otoczeniu jego wywarła, znajduje także pełne uzasadnienie w sentymentalnym guście swojej epoki. Tylko czy o wszystkich egzemplarzach można powiedzieć, że pochodzą właśnie z podków czworonoga, który podzielił tragiczne losy księcia? Złośliwi powiadają, że ze czterech podków nie dałoby się aż tyle zrobić pierścieni, ale rzecz ta zostanie prawdopodobnie na zawsze tajemnicą medaliera Gotfryda Meinerta, który całą współczesną Warszawę zaopatrywał w podobne pierścienie.

Napisy na powyższym pierścieniu stanowią lapidarny życiorys wodza i jego ostatnie słowa. Powtarzały je wówczas usta wszystkich Polaków, a utrwalił je między innemi Caunois we Francji, a Baerendt i obydwaj Majnertowie w Warszawie na znanych medalach Poniatowskiego i wiedeński sztycharz John, na rozpowszechnionym współcześnie bardzo portrecie*). Rozeszły się te słowa wśród wojska polskiego już w kilka godzin po śmierci ks. Józefa i miały być wypowiedziane przez niego wówczas, gdy go namawiano, aby dla ratowania życia dał się wziąć do niewoli. Łepkowski**) zalicza je do tego mnóstwa słów legendowych, przypisywanych bohaterom i monarchom, którym ani przez myśl nie przeszło wydeklamować je dla potomności. Prof. Askenazy w pomnikowem swoim dziele o Poniatowskim konstatuje, że w ostatniej godzinie, śmiertelnie już ranny, na prośby przyjaciół by się ratował, odpowiadał coś gniewnie i z uniesieniem o Polsce i o honorze.

(C. d. n.)

Fr. Jaworski.

---

*) Kopera: Katalog rycin w zbiorze Czapskiego nr. 1482.

**) J. Łepkowski: O tradycjach narodowych. Kraków. 1861.

WOJCIECH DARASZ.

SZKIC BIOGRAFICZNY.

(Ciąg dalszy).

„Określenie obowiązku wspólnego należy do wszystkich. Jest to ustawa zasadnicza ludzkości; a przyjdzie czas, kiedy ustawa ta wypracowaną zostanie na kongresie reprezentantów wolnych narodów. Wybór środków należy do każdego ludu. Jest to ustawa zasadnicza narodów, one tylko same mogą ją oznaczyć. Pod natchnieniem więc myśli ogólnej, każdy naród określi posłannictwo szczególne, przeznaczone mu w świecie.

„Na tych to podstawach organizacja Demokracji oprzeć się powinna“*).

Podług planu ułożonego w Londynie przez przewódców Demokracii europejskiej, utworzony Komitet Centralny miał znaczenie tylko tymczasowe jako powołujący i pobudzający do wytworzenia komitetów przez same narody; a dopiero wysłannicy tych komitetów mieli utworzyć stały Komitet Centralny. Obowiązkiem jego miało być: „nadać jednakowy popęd wielkiej organizacji europejskiej, założyć apostolstwo zasad, mających zbliżyć do siebie członków ludzkiej rodziny; zabezpieczyć, aby żadna rewolucja przez odosobnienie się nie zdradziła lub nie odbiegła chorągwi braterstwa; aby żadna przez złowrogą ambicję nie pogwałciła praw wewnętrznego rozwoju, jaki przynależy każdemu ludowi, aby żadna, opuszczona nie zmarniała pod ciosami spiknionych arystokracyj“.

„Po utworzenia komitetów narodowych — powiadano — dwa są środki; albo utworzenie idzie z góry i obejmuje masy; albo powstaje z dołu, a wtedy wybrani naczelnicy zakładają jedność. Oba te środki są dobre; wybór jednego z nich zależy od okoliczności, w których się kraj znajduje“. Tam, gdzie to można, niech ta praca odbywa się publicznie, przy świetle dziennem; gdzie zaś wszystkie drogi prawne do objawienia opinii wzbronione, tam nakazana jest tajemnica, praca tajemna w milczeniu. „Pieczary lub forum, każde miejsce właściwem, kiedy idzie o przyśpieszenie tryumfu sprawiedliwości“**).

Daraszowi miano za złe, że się zjednoczył z przedstawicielami demokracji rewolucyjnej w Europie. Nie mówiąc o poznańskim *Gońcu Polskim* i krakowskim *Czasie*, nawet niektórzy dawni członkowie Towarzystwa demokratycznego uważali to za pewne odstępstwo sprawy narodowej, za szkodliwe łączenie się z socjalistami. Nam — powiadali oni — potrzebnem jest wyzwolenie się polityczne przedewszystkiem, a kwestja socjalna sprowadza tylko wśród nas rozdwojenie. — Zapomnieli oni, że zupełnie podobny im zarzut czynili zwolennicy Czartoryskiego i Dwernickiego. — Ależ — odpowiadała im Centralizacja londyńska — czyż Towarzystwo Demokratyczne nie postawiło w swym programie: wyzwolenie włościan, zniesienie pańszczyzny i czynszów, nadanie włościanom własności gruntowej bezwarunkowe, usamowolnienie pracy?! A nie jestże to kwestja socjalna?!

*) Demokrata Polski — 1851 r. N. 2 — 19 stycznia.
**) Demokrata Polski. 1851. Nr. 2. — 19. stycznia.

Myśl międzynarodowa w tym czasie wywalczała jeszcze sobie uznanie. Nie tylko dyplomaci państwowi, ale i wyznawcy rewolucjonizmu powoływali się egoistycznie na sam tylko interes własnego narodu. Zarzuty czynione Daraszowi, powtarzano i innym przedstawicielom narodowym demokracji europejskiej. Komitet więc Centralny przypomniał w swej odezwie z dnia 1-go czerwca, że główną przyczyną niepowodzeń rewolucji 1848 r. był właśnie brak solidarności międzynarodowej. „Musieliście — powiadał — znów popaść pod jarzmo i nowemi boleściami odpokutować wasz błąd.“

Misja Komitetu Centralnego — powiadał dalej*) — jest europejska, dzieło jego internacjonalnem dziełem. Zwrócić usiłowania ludów do jednego źródła, do jednego wspólnego natchnienia; reprezentować czynem solidarność, istniejącą pomiędzy wyzwoleniem każdego z nich a wyzwoleniem wszystkich: ścieśnić szeregi walczących w świętej sprawie prawa, gdziekolwiek one stoją; przygotować przymierze ludów, któreby mogło pokonać przymierze królów; kongres narodów, któryby mógł zastąpić kongres wiedeński, dotąd trwający i zawsze czynny; przerobić kartę europejską wedle woli ludów; usunąć przeszkody, stojące na wstępie takiej przyszłości a wynikłe z przesądów, z tradycji wojen monarchicznych i podstępów rządowych; oto jest — powtarzamy — cel naszej pracy zbiorowej.

„Oczywiście, cel taki nie może być osiągnięty, tylko obrawszy wspólny punkt wyjścia.

Punktem tym wszechwładztwo narodowe dla każdego ludu, przymierze na podstawie równości dla wszystkich wyzwolonych narodów.

„Wszechwładztwo nie byłoby narodowem, nie obejmując w swym celu i objawach wszystkich żywiołów, tworzących naród, ogółu obywateli, składających państwo. Pojęcie demokratyczne jest przeto dla nas warunkiem nieodłącznym od narodu.

„Demokracja ma tylko jedną logiczną formę; formę republikańską“**).

W Komitecie Centralnym Demokracji europejskiej niezaprzeczenie największy wpływ wywierał Mazzini, i największą też czynność rewolucyjną okazywali Włosi. — Wasze pięć dni w 1848 r. powiadała odezwa Komitetu do patrjotów lombardzko-weneckich — zdobyły wam Ojczyznę. Niech robią co chcą wrogowie, ona ma zapewnioną przyszłość. Jakkolwiek bowiem powstania upadły, wróg zwyciężył, to jednak te pięć dni okazały w narodzie taką potęgę ducha, że wiara w jego rychłe wyzwolenie napełniła

*) L. c.
**) Demokrata Polski z 1851 r. Nr. 24.

serca walczących w jego sprawie. — Wiara Włochów była ogromna, i najwcześniej wśród nich na ziemi ich ojczystej stanął Komitet narodowy. (Dok. nast.)

GMINA KARAICKA w HALICZU.

Karaici haliccy wymierają gwałtownie z roku na rok, nie troszcząc się bynajmniej o pozostawienie śladów swej bytności w Galicji, chociażby w skreśleniu dziejów, sięgających bardzo odległych czasów. Wielu ludzi zainteresowało się w ostatnich czasach ciekawym tym ludem, co od wieków siedzi w Haliczu i jakby nieodwołalnie skazany na śmierć, obojętnie oczekuje swego końca bliskiego. Kongres karaicki, odbyty w lipcu r. z. w Eupatorji, obradował wprawdzie nad sposobami zaradzenia złemu, ale odnośnie do gminy karaickiej spodziewać się należy, iż nie wiele to pomoże i że jedynem wyjściem dla nich będzie przesiedlenie się do współwyznawców na Krymie. Jak narazie, wcale nie zanosi się na coś podobnego i być może, że dopiero po stopieniu się gminy do kilkunastu członków, uzna ona wreszcie za stosowne połączyć się z liczniejszymi braćmi krymskimi, podobnie jak około 1831 r. uczynili Karaici kukizowscy, przenosząc się do Halicza.

Z dawnych trzech gmin kar., we Lwowie, Kukizowie i Haliczu zachowała się do dzisiaj jedynie ta ostatnia, stosunkowo najlepiej znana z swych dziejów i zwyczajów, dzięki jakim takim źródłom historycznym, zachowanym na miejscu w tradycji ludowej, lub też w postaci licznych kamieni grobowych, tudzież księgi zmarłych, założonej z początkiem XVII w. Zasługa zbadania i opisania wszelkich znanych zabytków karaickich mogących wyświetlić ich zagadkową przeszłość, przypada w udziale znanemu — z dawniejszych szkiców z życia Karaitów — autorowi p. Rubenowi Fahnowi, który mieszkając od dawna stale w Haliczu za cel studjów postawił sobie możliwie jak najdokładniejsze odbudowanie z drobnych fragmentów, całokształtu minionych dziejów gminy halickiej. Wyniki nadzwyczaj sumiennych swych dochodzeń i badań ogłosił on w 1910 r. w pracy pt. „Do dziejów Karaitów w Galicji“, drukowanej w petersburskiem czasop. „Hakedem“, a wydanej w odbitce w Berlinie u Itzkowskiego. Ponieważ rzecz ta, ciekawa nadzwyczaj dla krajoznawstwa naszego, pisana jest w języku hebrajskim, niedostępnym dla szerszego koła czytelników, więc nie od rzeczy będzie zaznajomić się bliżej z jej treścią i wynikami do jakich doszedł p. R. Fahn, w dochodzeniach nad początkami gminy halickiej.

Początki ich osadnictwa nie są historycznie znane, ale wyjaśnić je można choć w części przez zbadanie ich języka i zwyczajów, różnych od pokrewnych im Żydów. Dr. Grzegorzewski*), który rozebrał naukowo ich język ustalił, iż jest to djalekt turecko-tatarski, zawierający mnóstwo słów arabskich, perskich, hebrajskich, ruskich i polskich; niektóre słowa wykazują specjalną właściwość południowych djalektów turecko-tatarskich, w innych zaś odróżnić można składniki djalektu zachodniego, a nawet Azji centralnej. Z tego wnosi dr. Grzegorzewski, iż zaczerpnięte zostały one nie za pośrednictwem języka turecko-tatarskiego, lecz wprost bezpośrednio przez stosunki handlowe z Persami. Przyjęte jednak słowa obce nie zmieniły djalektu turecko-tatarskiego, zatrzymującego i nadal swe dominujące stanowisko. Etymologicznie stanowią Karaici haliccy i łuccy jedną grupę, odmienną od krymskiej. Do Galicji przyszli więc Karaici ze Wschodu i osiedlili się tu najprędzej w Haliczu, jak świadczą o tem rozmaite dane historyczne, tudzież zachowana tradycja ludowa. Według ich obliczeń osiedlili się w 1247 r. w Haliczu, skąd po przeniesieniu stolicy do Lwowa, większa ich część przeniosła się do nowego miasta, przebywając tu do r. 1475.

Przypuszczenie R. Fahna, iż przenieśli się oni po tym roku do pobliskiego Kukizowa, jest z tego względu niemożliwe, iż jak wynika z dokumentu osadczego Jana III, osiedli oni w tem miasteczku o wiele później, bo dopiero w 1692 roku. Karaici lwowscy wrócili najprawdopodobniej do Halicza, skąd możliwie wyemigrowali później do nowo założonego na prawie magdeburskiem miasta Kukizowa, dawniej Krasnym Ostrowem zwanego.

Halicz, jako główne miasto z największymi na Ruś całą jarmarkami, znany mógł być Karaitom jeszcze przed ich osiedleniem się w nim na stałe; jako kupcy przyjeżdżali tu co pewien czas i posiadali może pierwotnie rodzaj faktorji handlowej, która z czasem stała się zawiązkiem gminy późniejszej, utrzymującej i nadal przez czas jakiś stosunki handlowe ze Wschodem. Sami zaś twierdzą, iż za przybyciem do Halicza dostali od panującego rozmaite przywileje na kupno ziemi i na prowadzenie handlu. Wrogowie ich Żydzi, z nienawiści do nich i w chęci poniżenia ich, powiadają o Karaitach, iż książę halicki dał w upominku chanowi tatarskiemu dwa psy rasowe, za które w zamian otrzymał Karaitów; do dzisiaj też Żydzi mówią o nich, iż są „ceną psów“ (suchir kelew).

Szczegóły te, jak również wiadomości, zawarte w rękopisie karaickim, wydanym przez N. M. Litewskiego**) przemawiają za tem, iż przy-

*) Dr. Grzegorzewski. Ein türkisch-tartarisches Idiom in Galizien. Wien 1903.

**) W czasop. hebrej. »Hamagid« z r. 1893, ogłosił on list uczonego kar. Elischa Lenowicza do Abr. Firkowicza, znanego badacza dziejów kar. w Rosji, zmarłego w 1884 roku. W liście tym jest mowa o 100 rodzinach, którym po zawarciu pokoju z księciem Danielem Romanowiczem, pozwolił chan tatarski przesiedlić się z Krymu do Halicza. Książę Daniel obdarzył ich wolnościami i pozwolił handlować na całej Rusi.

szli oni właśnie naprzód do Halicza, w jednym z lat pokoju między ciągłymi napadami tatarskimi, około 1240 r. za księcia Daniela. Mogli więc być zakładnikami Tatarów, albo też utrzymując stosunki handlowe z Haliczem, skorzystali z zawartego pokoju, postarali się o przywileje i osiedli na stałe w Haliczu. O życiu ich jednak i organizacji w tych czasach nie posiadamy żadnych wiadomości, a późniejszy dekret podatkowy Zygmunta I. z r. 1522 wspomina tylko o Żydach w Haliczu, podobnie jak i inne wzmianki, zawarte nielicznie w aktach grodu halickiego. Fakt ten jednak nie przeczy wcale istnieniu ich wówczas w Haliczu, a wytłumaczenie jego staje się jasnem po bliższem uwzględnieniu ówczesnego stanu gminy karaickiej. O bytności zaś ich w Haliczu świadczy najlepiej zatwierdzenie przez Batorego w 1588 r. przywileju osadczego, tudzież lustracja z r. 1627, wykazująca 24 rodzin Karaitów. Lustracja z 1765 roku podaje; gospodarzy chrześcijańskich 120, karaickich 16, żydowskich 36.

Przyczyną braku wszelkich wiadomości o Karaitach jako o takich było ich odosobnienie się od reszty współwyznawców na Krymie i Litwie, tudzież ogromny upadek tak religijny jak i społeczny. Wystarczy powiedzieć, iż około 1649 roku nie byli nawet w stanie wybrać z pomiędzy siebie przełożonego (chazan) i całkiem już nie umieli języka hebrajskiego, niezrozumiałego dla nich w księgach świętych i modlitwach.

W tym czasie przyszedł do Halicza Dawid Chazan (śpiewak) z Jerozolimy, który zapragnął poznać życie i stosunki współbraci swych na Rusi i Litwie. Straszne nieuctwo i „zdziczenie" obywateli halickich tak bardzo dotknęło go, iż za przyjazdem na Litwę z bolem serca opowiadał tam o zupełnym upadku Karaitów w Haliczu. Sprawę tę wzięli sobie do serca dwaj młodzi bracia Józef i Jozue, którzy postanowil opuścić swój kraj rodzinny, ażeby spełnić misję apostolską wśród Karaitów ruskich. Pierwszy z nich został wybrany chazanem gminy, a brat jego, jako ogólnie szanowany obywatel, służył mu pomocą. Dzięki im zreformowana została do gruntu cała gmina na wzór gmin litewskich. Odtąd zaczyna się nowa era w życiu Karaitów halickich, którzy podjęli na nowo oddawna zaniechane stosunki z innemi gminami i utrzymywali je nawet bardzo żywo, zwłaszcza z Łuckiem na Wołyniu.

W nagrodę za zasługi, poniesione około odrodzenia religijnego i kulturalnego, nadali Haliczanie Józefowi przydomek H a m a s z b i r (szafarz wiedzy), który przeszedł na dalsze jego potomstwo. I dzisiaj jeszcze wspominają o nim Karaici haliccy z ogromną czcią, a cały jego ród otoczony jest niezwykłem poszanowaniem i sławą. Działalność jego znamy tylko z tradycji, ponieważ prócz kamienia grobowego, jednego z najdawniejszych w Haliczu (dawniej miały być drewniane) nie pozostało po nim i śladu. Na kamieniu czytamy: „Niechaj będzie zapisane aż do ostatniego pokolenia, iż tu spoczywa „źródło mądrości" itd., w księdze zaś zmarłych, założonej właśnie za jego czasów nie ma całkiem o nim wzmianki.

Za reorganizacją w samem łonie, nastąpiło i wzmocnienie znaczenia Karaitów halickich na zewnątrz. Z tych to dopiero czasów pochodzą wiadomości o nich, jako takich, w Akt. grodz., wyróżniających ich już jako coś odrębnego od Żydów. Upadek przed Józefem był przyczyną, iż nie występowali oni przedtem jako Karaici; nie może to zatem świadczyć, iż mniej więcej około tego czasu zjawili się w Haliczu, ponieważ jak widzieliśmy i jak to przyjmuje historyk żydowski Graetz, osiedli oni prędzej w Haliczu.

Po śmierci Józefa Hamaszbira zostaje chazanem syn jego Mojżesz, o którego działalności nie ma nic pewnego. Płyta grobowa zatraciła się gdzieś, a tylko w księdze zmarłych jest o nim wzmianka. Po nim objął urząd chazana brat jego Samuel, który rządził gminą w duchu ojca Józefa. Syn Samuela, Mardochaj zastępował go niedługo, ponieważ jako chazan przeniósł się do Kukizowa. Po nim zaś chazanem obrany został brat jego Mojżesz (1765—1702). Za jego to czasów ułożona została wyżej wspomniana statystyka z 1765 r.

Po śmierci jego został chazanem, Jozue, syn Mardochaja, a po tym Samuel syn Mojżesza, ostatni chazan z rodu Hamaszbira. W r. 1801 objął urząd ten Abracham Leonowicz, syn Lewi'ego, naczelnika gminy, a po kądzieli potomek Jozuego brata Hamaszbira. Jakkolwiek młody, jednak o wielkiej wiedzy i wykształceniu, a przytem latorośl ogólnie czczonego rodu sławnego organizatora, został on duchowym przewódcą gminy i sprawował ten urząd przez lat 50 do r. 1851. Jego staraniem zbudowana została w 1830 r. do dzisiaj istniejąca bóżnica, tudzież zreformowany został zwyczaj grzebania zmarłych. Ponieważ dawniej chowali zmarłego Karaitę Żydzi i ci dopuszczali się częstokroć obrazy nieboszczyka, co miało miejsce i przy pogrzebie brata jego Samuela, więc Abraham ustanowił, iż odtąd sami Karaici spełniać mają tę czynność, dawniej za nieczystą uważaną. Rozwinął on wogóle bardzo żywą działalność tak w życiu religijnem jak i społecznem swojej niewielkiej gminy i sam nawet oddawał się literaturze hebrajskiej.

Dzielnym również człowiekiem był jego następca, syn, Józef Leonowicz, który wyjednał na audjencji u cesarza, że młodzież karaicka spełnia przy wojsku tylko służbę sanitarną. Zajmował się również literaturą hebrajską i żywo interesował się odrodzeniem żydowskiej literatury hebrajskiej t. zw. H a s k a l ą. Przez haskalistów, propagujących zarzucenie talmudu (nie uznawanego wcale przez Karaitów) spodziewał się następca jego Józef Mortkowicz — jak wnosić można — zbliżenia się Karaitów do Żydów, pożądanego tak ze względu na wymieranie pierwszych. Układał on poezje hebrajskie, oraz tłumaczył modlitwy hebrajskie na język karaicki.

Syna nie pozostawił, a chazanem po nim został Zorach Leonowicz, zięć Józefa Leonowicza; po tym nastąpił Simcha Leonowicz, człowiek wielkiej wiedzy i dobry pedagog.

Trzej ostatni chazani wymierali zawsze bezpotomnie, co nie było przypadkowe, a jedynie wynikiem stosunków w całej gminie karaickiej która wymiera powoli dla braku świeżej krwi w małżeństwach, zawieranych od dawna jedynie w nielicznej grupie karaickich mieszkańców Halicza. O ile więc nie przeniosą się na Krym to los nieunikniony spotka ich w naszych jeszcze oczach. Statystyka z 1908 roku wykazuje ich w Haliczu i Załukwi razem około 160 dusz, a przytem w ostatnich czasach okazuje się coraz więcej nieżonatych, tudzież dezerterów w postaci młodych ludzi, studjujących w miastach a nie mających wcale chęci powrócenia do miejsca rodzinnego. Dzisiejsi zatem nieliczni Karaici, to ciekawy zabytek dawnych wieków w kraju naszym, godny uwagi i zachowania, chociażby tylko w martwych literach książki. *B. Janusz.*

MUZEUM NARODOWE RUSKIE.

W walce narodowościowej zrozumiano już powszechnie znaczenie muzeów, jako placówek kulturalnych, dla rozwoju życia narodu niesłychanie ważnych. Stąd liczba powstających muzeów rośnie w pocieszający sposób i to nietylko w centrach stołecznych, ale jak n. p. w Królestwie po wszystkich większych miastach i u nas np. w Tarnowie, Przemyślu i Rzeszowie.

U Rusinów doniosłość muzeów pojmuje przedewszystkiem metropolita Szeptycki, który od lat kilku dokładał wszelkich starań, pracy, zabiegów i pieniędzy dla stworzenia muzeum cerkiewnego u św. Jura, stojącego na poziomie muzeów djecezjalnych. Rozwój jednak muzeum tego był tak nagły i świetny, że niebawem ramy cerkiewne okazały się stanowczo za ciasne. To też przed rokiem muzeum cerkiewne zamieniło się na narodowe ruskie, z bardzo szerokim zakresem działania, że świetnymi rezultatami dotychczasowymi i niemniej świetną przyszłością, której zamierzona budowa olbrzymiego gmachu muzealnego trwałe położy podwaliny.

Muzeum narodowe ruskie w myśl swojego statutu, zbiera nie tylko rzeczy odnoszące się do historji i kultury małoruskiej albo ukraińskiej, ale także rzeczy białoruskie, rosyjskie, polskie i wogóle słowiańskie, o ile przyczynić się mogą one do lepszego zilustrowania lub zrozumienia kultury ruskiej.

W takim zakresie posiada muzeum już dziś 10.656 przedmiotów, z tego z archeologii przedhistorycznej 148, etnografii 829, druków 2.022, aktów 3.408, obrazów 509, drzeworytów 105, fotografii 308, przedmiotów cerkiewnych 341.

Najciekawszy jest dla nas dział polski. Ruskie muzeum narodowe w św. Jura, posiada wcale poważną galerję polskich malarzy z czego 19 płócien Jacka Malczewskiego, a ponadto obrazy Gierymskiego, Rejchana, Norblina i tp. dalej 40 pasów litych, wiele druków polskich, monet, sztychów etc.

Wogóle dział druków ruskich stanowi prawdziwą chlubę muzeum. Muzeum posiada cetyński Oktoich z r. 1493, 14 słowiańskich druków weneckich, a nadto prawie komplet druków moskiewskich, kijowskich, wileńskich, lwowskich, czernichowskich, supraślskich, wydania biblii Skoryny, drukowane w Pradze, i t. d. W oddziale tym poczesne miejsce zajmuje rzadki druk dołhopolski z r. 1635.

Do najnowszych nabytków Muzeum należą także tamtegoroczne wykopaliska z Halicza, wśród nich czara rytualna z XI wieku z marką biskupa kijowskiego Witaliona, kadzielnica gotycka niewątpliwie z XV wieku i inne.

Duszą muzeum jest obok metropolity Szeptyckiego, kustosz dr. Hilarjon Swincickij który głęboką swoją wiedzę i zamiłowanie poświęcił wyłącznie na usługi umiłowanej przez siebie instytucji.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Dzieje literatury polskiej. K. Grądziel ki. Kraków (1910). Nakład sp. wyd. »Książka«. Str. VIII+392+2 nlb in 8-vo Cena Kor. 5.

Podręcznik niniejszy ma za zadanie uczynić zadość wzrastającym potrzebom coraz liczniejszego zastępu starszej młodzieży szkolnej i ludzi, zmuszonych bądź uzupełniać swe wykształcenie po za szkołą, bądź nabywać je całkowicie drogą samouctwa. Z góry zapowiedzieć możemy, że książka w odniesieniu do wszystkich trzech kategorji czytelników zadania swego nie spełni równomiernie. O ile chodzi o starszą młodzież szkolną, w tym wypadku gimnazjalną, to niewątpliwie ta wiele skorzysta z ostatnich części książki, ale tylko w wypadkach, gdzie profesor uczący literatury nie odbiega ani na krok od obowiązującego w szkołach średnich podręcznika. Pierwszych pięć części nie przedstawi dla niej większej wartości, są za popularne i za mało wyczerpujące. Druga kategorja czytelników objęta bardzo rozciągliwym terminem »ludzi zmuszonych uzupełniać swe wykształcenie poza szkołą« usuwa się z tego powodu z pod oceny. Dla ludzi, którzy wogóle o literaturze polskiej mało co wiedzą, książka jest nabytkiem pożytecznym.

Autor przedarł się pracowicie przez istniejące opracowania ogólne historji literatury polskiej, nie pominął ważniejszych opracowań monograficznych a nawet i drobniejszych notatek, nie opanował może ze wszystkiem materjału i nie ujął go syntetycznie w całość ale w ogólnym rzucie dał zarys jasny i przejrzysty, który początkującym czytelnikom studjum poważniejszych rzeczy i orjentację w poszczególnych autorach niewątpliwie ułatwi. Czytelnik w ten sposób zabierający się do roboty, łatwo

szereg przeoczeń i nieścisłości mieszczących się w książce p. G. poprawi i uzupełni. *E. K.*

Adama Mickiewicza Pisma, wydane, objaśnione i poprzedzone wstępem przez prof. Józefa Kallenbacha, rozpoczęła wydawać księgarnia Feliksa Westa w Brodach. Będzie to wydanie w najlepszem tego słowa znaczeniu popularne i poda pisma Mickiewicza w ich naturalnem, chronologicznem następstwie. Do niniejszego wydania wejdzie też wybór najbardziej charakterystycznych utworów młodzieńczych poety, przechowanych w Archiwum Filomatów.

Księgarnia p. Westa jest dziś jedyną może księgarnią na ziemiach polskich, która nie obawia się »ryzyka« i pomnożyć zamierza liczbę wydań tak stosunkowo niewielką, dzieł naszego nieśmiertelnego wieszcza Tem większa jej zasługa, że tom pierwszy wydawnictwa, który okazał się już na półkach księgarskich, przedstawia się bardzo okazale i pod względem zewnętrznym pięknie.

Rudolf Mękicki: Medale grunwaldzkie. Z ilustracjami. Lwów 1911. Nakładem Maksymiliana Goldsteina. Str. 36.

Tamtegoroczne obchody grunwaldzkie, obok licznych śladów w literaturze, pozostawiły po sobie także, jako pamiątkę trwałą, 44 medali, jetonów, plakiet, odznak metalowych itp. Zebrał je wszystkie bardzo skrupulatnie i opisał z całą pilnością, sumiennością i dokładnością fachowego numizmatyka p. Rudolf Mękicki w pięknej i nader miłej książeczce, która leży przed nami. Musimy wierzyć autorowi, że liczba metalowych pamiątek rocznicy grunwaldzkiej dosięgła tej właśnie kabalistycznej cyfry, bo p. Mękicki jest jednym badaczy, któryby Acheronta poruszył, dla skompletowania tak swojego zbioru, jak i kolekcji opisanej w książce. Dla tej dokładności poświęcił nawet układ samego dziełka, umieszczając na końcu te uzupełnienia, które już w samym tekście pomieścić się nie dały. W szczegółowym tedy aż do ostateczności opisie, w pięknych ilustracjach, w wytrawnych, dużem znawstwem nacechowanych uwagach, przesuwa się przed nami cały dorobek rocznicy grunwaldzkiej na polu medalierstwa, tak w swoich dziełach pierwszorzędnych, jak i pamiątkowych drobiazgach, które p. Mękicki, rzec można, ocalił dla potomności, jako z góry już na zapomnienie, czasami nawet dobrze zasłużone zapomnienie, skazanych.

Bo przyznać trzeba, że książka p. Mękickiego jest o wiele lepsza od znacznej większości opisanych w niej medali. Obok kilku sztuk istotnie wysokiej artystycznej wartości, z pewnem poczuciem monumentalności pojętych i wykonanych, reszta nie przekracza poziomu rzemieślniczego, niektóre zaś wchodzą w zakres pospolitej »bryndzy«. Ale trudno. Mimo skonstatowanego przez autora postępu medalierstwa polskiego, daleko nam jeszcze do poziomu tych dzieł, które po sobie zostawił choćby tylko koniec ośmnastego wieku. Żyjemy zresztą w czasach iście amerykańskiego pospiechu, który się odbił nawet na jednym z medali grunwaldzkich (nr. 11.) na którym czytamy wcale zagadkowy napis: »Tobie wczorajszej cześć — jutrzejszej życie«, któryby chyba należało czytać: »Dobie wczorajszej cześć itd«.

Książka p. Mękickiego wydana jest tak starannie, czysto z takiem zacięciem naukowem, że śmiało ja uznać można za najlepsze dzieło, jakie się u nas ostatnio w zakresie numizmatyki okazało. Strona zewnętrzna bez żadnego zarzutu, okładka prześliczna pomysłu i wykonania samego autora, a w całości jedna tylko usterka stylistyczna (str. 35. »Opis medalu... jest prawdobodobnie... opisanym medalem«). Jednem słowem książeczka prawdziwie amatorska.

Wyszła nakładem znanego numizmatyka p. Maksymiliana Goldsteina. Inaczej trudno by jej było znaleźć... niestety nakładcę. Ale zato w tem zespoleniu pracy i ofiarności dla wspólnego celu naukowego, w tym zapale obydwu młodych przyjaciół dla zajmującej ich gałęzi wiedzy, jest rys bardzo piękny i bardzo szlachetny, otaczający i autora i nakładcę i ich wspólne dzieło ciepłą atmosferą przyjaźni i sympatji. *j.*

Yoga tajemna wiedza Indji, przez Babpt. Wiedenmana przełożył Stanisław Womela. Lwów. Wydawnictwo »Kultura i sztuka«.

Dla polskiej literatury okultystycznej jest niniejsza, niewielka rozmiarami, książeczka cenną zdobyczą — wprowadza nas bowiem w świat tajemniczej wiedzy indyjskich fakirów, znany szerszemu ogółowi wyłącznie prawie z wiadomości o sensacyjnych produkcjach, które przyjmuje się zwykle z niedowierzaniem. Czytelnicy dzieła Wiedenmanna dowiedzą się wiele rzeczy nowych o sile woli i myśli, o potędze wyobraźni, o ciele astralnem, jasnowidzeniu itp. Przekład dokonany przez takiego znawcę filozoficznych kierunków jak p. Stanisław Womela, daje wszelkie gwarancje naukowego traktowania rzeczy, a dokonany jest ponadto jasnym i zwięzłym językiem i czystą polszczyzną.

NOTATKI.

Obraz Tarasa Szewczenki. W zbiorach p. Franciszka Rawity Gawrońskiego w Łozinie pod Janowem znajduje się obraz olejny, przedstawiający głowę ukraińskiego chłopca, typ z Kijowa. Obraz przez artystę niesygnowany, uważał nauczyciel rysunków p. Gawrońskiego, Soszenko, przyjaciel osobisty Szewczenki jeszcze z Petersburga, przed Akademią, za robotę Szewczenki i jako taką przechowywał u siebie. Czas wykończenia tej główki ma się odnosić do pobytu Szewczenki w Kijowie, przed wyjazdem za Dniepr. Obecny właściciel kupił obraz na licytacji ruchomości Soszenki, po jego śmierci. Czy jest robotą Szewczenki, absolutnej pewności, jak wyżej powiedziano, niema, gdyż obraz nie jest sygnowany.

Hans Dürer w Krakowie. Głęboki znawca historji sztuki polskiej p. Paweł Etinger z Moskwy zdając w jednem z pism warszawskich sprawę z książki p. Ignacego Betha przypomina ciekawe szczegóły pobytu w Krakowie Hansa Dürera, młodszego brata Albrechta.

Pierwsza o nim wzmianka, jako o malarzu przy dworze królewskim, pochodzi z r. 1529. O powody wyprawy malarza norymberskiego do Polski łamać sobie głowy nie wypada, wobec wielu ożywionych stosunków między Krakowem i miastem rodzinnem Dürerów. Pozatem. jak to w swoim czasie wykazał prof. M. Sokołowski, mogły tu pójść w rachubę i stosunki rodzinne z Krakowem. Matka bowiem Dürerów oraz teściowa Albrechta były z domu Hallerówny, a wiadomo, że w r. 1491 drukarz, Jan Haller z Rothenburga otworzył w Krakowie sławną swą oficynę. Czy drukarz krakowski nie był czasem krewnym Dürer'ów? Toć istnieje przypuszczenie, że sam Albrecht Dürer podczas swej podróży w latach 1490—1492 zwiedził Kraków, co zdaje się, potwierdza drzeworyt w »Weltchronik« Schedel'a, przedstawiający widok Krakowa, a mający wszelkie cechy szkicu z natury robionego.

W każdym razie Hans Dürer pod szczęśliwą gwiazdą przybył do Krakowa, gdyż od r. 1529 niejednokrotnie spotykamy się z jego nazwiskiem w charakterze malarza nadwornego. Polichromuje on i pozłaca stropy w zamku na Wawelu, ozdabia obramienia okien i zwyczajem artystów ówczesnych, wykonywa wszelkiego rodzaju roboty dekoracyjne. Zgodnie z innymi badaczami, przypisuje p. Beth pędzlowi Dürer'a efektowny portret biskupa krakowskiego, Piotra Tomickiego z krużganków kościoła franciszkańskiego, a na własne ryzyko stanowczo broni autorstwa malarza królewskiego wobec malowideł zewnętrznych ołtarzyka srebrnego w kaplicy Jagiellońskiej katedry krakowskiej.

Słynny ten ołtarzyk składa się z dwunastu płaskorzeźb srebrnych w formie tryptyku, wykończonych w r. 1538 w Norymberdze przez mistrzów: Piotra Flötner'a, Pankracego Labenwolfa i Melchiora Bayra Stronę zewnętrzną skrzydeł tryptyku zdobią malowane sceny Męki Pańskiej, pełne reminiscencji z analogicznych utworów graficznych Albrechta Dürer'a. Autora tych obrazów niestety nie znamy. Dzięki badaniom prof. M. Sokołowskiego i ogłoszonym przez niego dokumentom, wyjaśniło się, że prócz wyżej wymienionych mistrzów i Hans Dürer niewątpliwie należy do twórców ołtarzyka przenośnego, z jego bowiem ręki powstał szkic do całego dzieła.

W r. 1538 Kraków w swych murach gości trzeciego Dürer'a, złotnika Andreasa. Przybył tu z listem polecającym rady miejskiej Norymbergii, gwoli uporządkowania schedy po świeżo zmarłym bracie.

Z Drukarni Polskiej. Za redakcję odpowiedzialny Fr. Jaworski. Nakładem »Kurjera Lwowskiego«